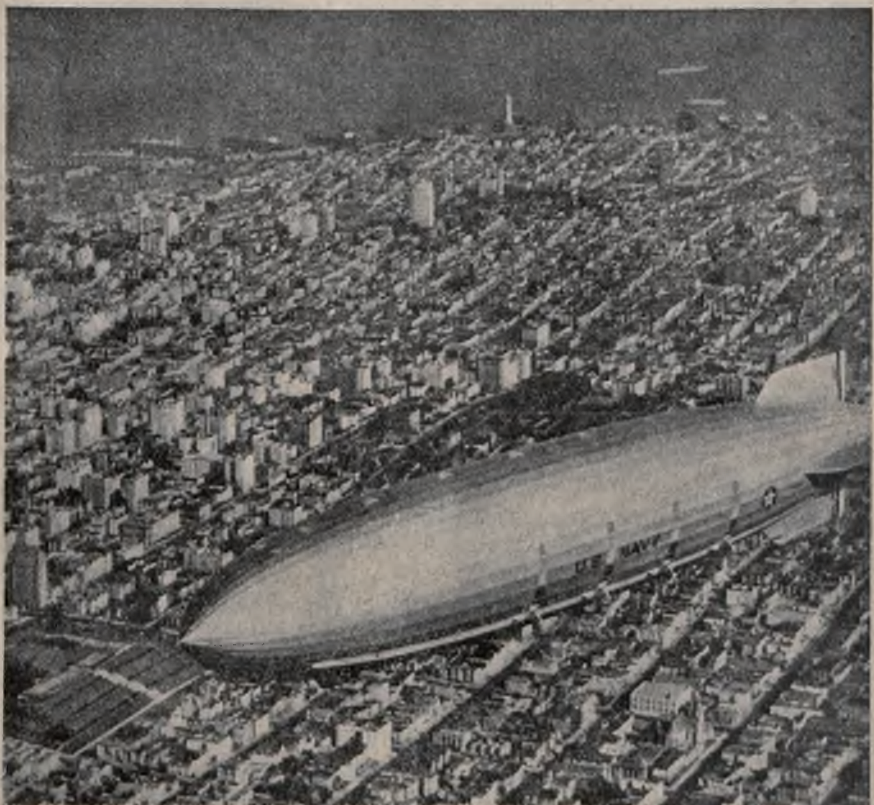
Rok 1935. **17 marca.** **Nr. 12.**

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.



Olbrzym, który zginął.

Niejeden z naszych Czytelników, patrząc na powyższą rycinę, nie będzie mógł odgadnąć w pierwszej chwili, co właściwie widzi. Otóż jest to zdjęcie fotograficzne dokonane z aeroplanu. Z bardzo daleka widać zgóry część jednego z wielkich miast amerykańskich nad brzegiem oceanu. Ciemne miejsca na rycinie w głębi, to morze, a te białe plamki, to domy. Ale gdy się im bliżej przypatrzymy, przekonamy się, że to nie kamienice miast europejskich, tylko drapacze chmur. W wielkich bowiem miastach amerykańskich budowle mają po kilkadziesiąt pięter wysokości, a więc są wyższe od naszych wież kościelnych i sięgają dachami niemal w obłoki, przez co dano im nazwę drapaczy chmur. Ponad temi wysokiemi budynkami płynie w powietrzu

olbrzymi sterowiec, kształtu ni to ryby ni cygara, zasłaniając na rycinie całe dzielnice swojem potwornem cielskiem.

Nie jest to balon, którym wiatr kieruje, tylko naprawdę sterowiec, którym ludzie sterować mogą dowolnie zapomocą odpowiednich przyrządów. O rozmiarach jego niech świadczą następujące cyfry w miarach i wagach angielsko-amerykańskich: długość 785 stóp, waga 215 tysięcy funtów, w komorach gazowych 6 i pół miljona stóp sześciennych niepalnego gazu helu. Cztery potężne silniki pozwalały osiągać szybkość 80 mil angielskich na godzinę i przelatywać bez lądowania przestrzeń 11 miljonów mil angielskich.

Powiedzieliśmy „pozwalały“, ponieważ ten olbrzym już nie istnieje, właśnie świeżo w katastrofie po upadku w morze, zatonął. Nazywał się „Macon“ (czyta się: meken). Był to największy na świecie statek powietrzny, a należał do balonowej floty Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, która niedawno jeden po drugim w katastrofach utraciła dwa podobne olbrzymy: „Akron“ i „Shenandoah“. W tej chwili takiego balonu nie ma żadne państwo, ale niezrażeni nieszczęściami Amerykanie już zaczęli budować nowego tego rodzaju olbrzyma.

Załoga takiego okrętu powietrznego składa się z 80 osób, a zajmuje miejsce w ogromnych czółnach zwisających z pod balonu na linach i posiadających wiele urządzeń podobnych do tych, jakie znajdujemy na parostatkach wodnych. Fotografja nasza przedstawia statek „Macon“ w czasie jego ostatniej podróży przed katastrofą.

Zajmująca historja wydry.

(Dokończenie)

Wśród tego młoda mama wywędrowała ze swemi małemi do rzeki. Możliwe, że spostrzegła podejrzane ślady stóp ludzi, którzy codziennie z psami przybywali na brzegi wody.

W piękny czerwcowy poranek zebrali się myśliwi z całej okolicy na polowanie z pokaźną sforą dobrych psów, które jednak nie były tresowane na wydry, ale w każdym razie znały już dobrze łowy na lisy. Prowadził je strzelec doświadczony. Wkrótce natknięto się na ślady wydry i długo postępowano za tropami tego rzadkiego zwierzęcia. Nasz samiec słyszał wszystko, zanim jeszcze psy wpadły na jego ślady. W wielkim pośpiechu, ale bez trwogi, przebiegł najpierw kawałek drogi wzdłuż brzegu stawu, następnie przez wodę i znowu przez łąkę ku rzece. Rosistą trawą pędził w górę rzeki brzegiem aż do tamy, tam obrócił się nagle i z wielką troskliwością po własnych śladach przebiegł prawie połowę drogi. Potem jednym skokiem łukowatym znalazł się w wodzie i zniknął. W przybrzeżnej norze oczekiwał co dalej nastąpi.

Podczas tego myśliwi ze swemi psami przeszukiwali cały staw; do nory, w której ostatnią noc przebyła wydra, puszczono nawet jamnika, ale napróżno. Ścigano dalej ślady wydry, aż do miejsca, z którego weszła do wody. Następnie okrążono cały staw dokoła i znowu natrafiono na ślad wydry tam, gdzie przez łąkę dążyła do rzeki.

Ożywił się brzeg rzeki, podniecenie psów wzrosło, gdy zwietrzyły nowy trop, a gdy odnalazły koniec śladów prawie przy samej tamie, wszystkie cisnąć się zaczęły ku wodzie. Bez wątpienia tu poszła wydra. Przeszukano znowu brzegi, we wszystkie dziury i nory utworzone przez korzenie drzew, psy wtykały pyski, ale nic nie znalazły.

Nasz ścigany samiec słyszał wszystko i wiedział o wszystkich ruchach i wysiłkach, jakie czynili nieprzyjaciele, aby go złapać, cieszył się więc mocno ze swej chytrości. Tu, gdzie woda była głęboka i szeroka, nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo.

Myśliwy, który przeprowadził psy, odszedł z niemi do miejsca, gdzie wydra rzeczywiście weszła do wody, rozdzielił tam ludzi z psami, a sam wsiadł do czółna i odpłynął na wodę. Wydra jednak spostrzegła ten manewr i zanim psy się zbliżyły, pomyślała już o odwrocie. Żwawo wybiegła z nory i zaczęła uciekać przy samym brzegu w górę rzeki; potem znowu gibkim skokiem wślizgnęła się w wodę.

W oddali słyszała gniewne ujadania niezadowolonych psów, które myśliwy zwoływał zpowrotem, gdy się przekonał o bezskuteczności swoich łowów.

Tym razem nie udało się polowanie na wydry, ale myśliwi i psy tak zaprawili się w tej sztuce, że zaraz następnym razem udało im się już wytropić jedno z najmłodszych wydrząt. Ojciec słyszał zdala przytłumiony jęk dziecka własnego, lecz nie mógł przyjść mu już z pomocą.

On sam jeszcze lat kilka unikał szczęśliwie zasadzek i zwycięsko wychodził z najniebezpieczniejszych pościgów, sam polując i łowiąc ze świetnym wynikiem — dopóki wreszcie nie „przyszła kreska na Matyska“, i nie padł ofiarą przyczajonego w lesie z rusznicą kłusownika.

E. O.

WRÓBELEK.

Jest to szkodnik przecie
Ten wróbelek szary:
Nieraz zboże w lecie
Niszczy nam bez miary.

W świat nie odlatuje
Wślad za skowronkami,
Z nami tu zimuje,
Ćwierka przed chatami.

Chociaż zima sroga,
Mróz swą moc podnosi,
Ćwierka on u proga,
O ziarenko prosi.

Kiedy dobre dziecię
Jakąś okruszynę
Rzuci mu na śmiecie,
Cieszy to ptaszynę.

Wtenczas już wesoło
Nasz wróbelek szary
Żwawo skacze wkoło,
Wdzięczny za te dary.

Henryk Biłka



Antena, głośnik i słuchacze radja — w świecie zwierząt.

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

Wśród tego zjawili się na pokładzie Chińczycy, obwieszeni grubemi sznurami rozmaitego kształtu korali, ofiarując je podróżnym. Wil, widząc, że jego piastunka z uśmiechem pożądania spogląda na wspaniałe wisiory w rękach Chińczyków, poprosił ojca o kupienie dla niej paru sznurów.

Niebawem statek znalazł się u celu podróży: wylądowano w małej przystani, znajdującej się na północno-zachodniem wybrzeżu wyspy Borneo. Tu oczekiwał na przybycie swego przyjaciela pan Mersen, który przygotował wszystko do dalszej wyprawy po lądzie. Odtąd podróż miała odbywać się na słoniach, które wynajęte, stały już w pogotowiu, wraz z obsługą, złożoną z gromadki czarnych z rasy papuańskiej. Nasz garbusek spotykał już słonie nieraz, ale ten osobliwy sposób podróżowania na grzbiecie owych olbrzymów świata zwierzęcego stanowił dla niego zupełną nowość i dlatego zaciekawiał go nadzwyczajnie.

Zwierzęta, które im miały zastąpić wozy kolejowe, przypominały wprawdzie wszystkie słonie, żyjące w dzikim stanie w puszczach indyjskich, były jednak nietylko całkiem oswojone, ale nadzwyczajnie przyuczone przez swych hodowców do rozmaitych ciężkich posług i robót, wymagających znacznej pojętności.

Wil ciekawie przypatrywał się grubej, gołej skórze ich tułowia i głowy, zwłaszcza grubym i ciężkim nogom. Ciekawił go nos wyciągnięty w kształcie grubej trąby, na której końcu widział wyraźnie nozdrza i mały palcowaty wyrostek. Miał zaraz sposobność zobaczenia, że właśnie tym wyrostkiem chwyta słoń trawę, którą żywi sie i następnie niesie ją do gęby pod trąbą.

Pan Edward zwracał mu uwagę na zęby słoni i Wil przekonał się, że te olbrzymy posiadają po każdej stronie tylko jeden lub dwa duże zęby trzonowe, a na przedzie dwa wielkie okrągłe, wydłużone siekacze w szczęce górnej, tak zwane kły.

— Jakie one mają krótkie kopytka na swych palcach — zauważył wreszcie Wil i zaraz ze swym nauczycielem obliczyli, że tych kopyt u przednich nóg jest pięć, u tylnych zaś cztery.

W pół godziny później wszyscy znaleźli się na grzbietach dwóch słoni. Umieszczono podróżnych wcale wygodnie w ogromnych koszach z trzciny bambusowej, które umocowano niby siodła na gruboskórnych wierzchowcach. Kiedy słonie ruszyły z miejsca, garbuskowi się wydawało, jakby odbywał podróż, siedząc na dachu domu. Wszystkiemu przypatrywał się z góry, a z tej wysokości przedmioty nawet dobrze znane przedstawiały mu się zabawnie.

Zrazu od wybrzeża morskiego przebywano drogę ciągle po nizinie, następnie jednak grunt wznosił się stopniowo ku wnętrzu wyspy do znacznej wysokości. Często przeprawiano się przez rzeki lub potoki, z gór płynące w stronę morza, a wówczas podziwiano, z jaką zręcznością olbrzymie zwierzęta dawały sobie radę ze wszystkiem, nad czem ludzie musieliby się niemało namozolić. Nawet przejście przez wodę nie przedstawiało wielkich trudności. Kilka kroków ciężkich wierzchowców i cały orszak, wraz ze swemi ciężarami, znajdował się na drugiej stronie.

(C. d. n.)

Rozwiązanie szarady z nru 11-go Głowa. Wacki. Głowacki.